



PARABOL

STANISŁAW
GRĘZIŃSKI

Stanisław Grędziński

PARABOLE

Lublin 1926—nakładem „Reflektora“

A-17923

okładkę projektował Kazimierz Tomorowicz

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Liter. 13a

K. 1140 | 58 | 72

EROTYK

Z szybkością sześćdziesięciu minut na godzinę
pędzi nieprzewidziany film
rzeczywiste nieuniknione kino
zdarzeń
jestem balonem
z którego się ulatnia tlen chwil
wkręcony w samo serce manometr
notuje spadek ciśnień
najściślej
na zegarze

lecz jakże ja obliczę
kąt i stopień
na chwiejnym liczb obliczu
wirującym kołującym z krańca w kraniec
oto sunę z ukosa po schodach pod strop
gwiżdżą witraże ugina się granit

ale raz kiedyś spojrzę nieostrożnie w dół
z 1926 piętra
zobaczę to co złamie mnie przez pół
a zegary złowrogo zagrają na zakrętach

urwie się wąła poręcz zostanie mi w ręku
wyżej już tylko dróżka kłujących utrapień
będę szukał omackiem strach mi ściśnie szczęki
i runę w czarną przepaść pokrzyżowanych drabin

a na dnie kamienistej tej studni
ciche wilgotne podwórze
wszystkie okna pozamykane na kłódki
wyjdzie z bramy dziewczyna od stróża

ma ukośne uparte oczy
nogi cienkie proste i śmiałe
okręciła się w czarne warkocze
jakże ona się ze mnie śmiała

muszę jej wytłomaczyć żem jechał po dachu
i że stracił mnie w biegu
dziki mustang
rozbeczała się niewiedomo dlaczego
i tonąc we łzach
pocałowała mnie w same usta

uważaj
twoje łzy są zielone i trujące
ten kwas już mi skórę sparzył
odwróciłem się urażony
zniknąłem w ciasnej sionce

tam dopiero jest cicha przystań
mały pokoik o białych firankach
poprostu garderoba wędrownego artysty
i tu właśnie jest moja kochanka

rozwalila się na łóżku pali papierosy
i sama się do siebie uśmiecha zagadkowo
na niej masa brązowych rozfalowanych włosów
rzekłbyś brzuchata leży biała morska krowa

nogi jej muskularne a chwytne jak węże
w tych gorących mocnych objęciach
ileż razym leniwie się prężył
z przejęciem

umie ona niejedno
zna przeróżne sekrety
mocne jak kokaina
słodkie jak ananas
wie jak wessać sok w skórę mocniejszy od wina
byś tryskał spermą jak fontanna do rana

a rano ucałować rąk jej mdłe owoce
bo już przez ramy okien wiatr przeciąga świeży
milkną melodykony omdlewającej nocy
okaryny zagrały z wieży
na niecierpliwe ulice zwa

z dalekiego kościołka
zafalował załkał
dzwon

Spoglądali przestraszeni w obłoki
 prosili chrypli o nie patrz tak w dal tą
 ażem się młody wyrwał z rąk im
 wyśmignął lśniacy ansaldo

zakołysały się łaskawie horyzonty
 poszły niżej w górę i w dół
 umykały w popłochu skore wrony skownonki
 gdym propeller im pióra pruć

tak to jest na stu metrach
 u na tysiąc pięciuset
 w niecierpliwych tętentach
 motor tętnił i drżał
 trzysta koni mych dęba stanęło i kłusem
 polecieliśmy prosto w przestrzeń jak strzał

dołem chwiał się od wiatru pstrokaty dywan
 górą wzbierał rozrastał się bujny śmiech
 w oceanach ozonu pijany pływam
 krew mi wali w aorty zapiera dech

już nie może trwać dłużej
 ten radosny sen miraż
 czy to mój zaechowiał
 zuchwały krzyk
 jeszcze chwila a skoczę
 w bezprzytomny tan wiraż
 rozjuszony skrzydlaty byk

zakołowało
ucichło
puls
ustał

zwolna z trudem do góry dół się wydźwignął
u stóp jak oko sięgnie
wzdłuż i wszere
obłoczna pustka
i ponad moją głową
podniebną i butną
miasto zjeżyło się szczytami wież
jak smutno

lecz gdy znów pióra dymów wykwitły
gdy do taktu zagdakały motory
to tak tłukły jak bębny do bitwy
rozchorągwił atmosferę ich chorał

prą do góry rytmy równe i męskie
po samotnych stepach przestrzeni
trzy tysiące pięćset metrów zwycięskich
tam powitał nas pierwszy feniks

potem inne zlatywały się ptaki
każdy bliską już wróżył mi walkę
i krzyż na niebie wyrósł olbrzymi znak
kiedym twardo spoglądał w dal tę

nagle wszystko mi pierzło i znikło
czy to już
czy to on był
atmosferę rozranił ryk
grzmocił w czaszkę trzaskawicą i wichrem
bomby

tylko smak został słony na ustach
a to targnął za gardło wróg
o jakżem krzyknął w otchłań międzygwiezdą
gdy krwią mi wreszcie w rękach zacharczał i chlustał
a potem długo leciał w bezdeń
jak w piekło strącony zły bóg

i oto gdy zwycięzca zwolna spłynął nisko
był mrok na ziemi i mrok był w błękitach
ciszą powiało po białem lotnisku
nikt go nie witał

EGZOTYK

W zoologicznym ogrodzie
w złotej spiekocie
słońca
para hippopotamów leży
dwa gmachy
kobyła gały wybałuszyła
omdlewające
zwałił się na nią buhaj
z rozmachem

dał dęba
i kołysze stupudowy brzuch
pracowicie rozpycha zapasione kłęby
chłopczyna szedł do szkoły zdziwił się przystanął
i patrzy patrzy oczarowany

parno było i sennie
hipopotamy sapwały
ślina im się lubieżnie ślimaczyła z pysków
w kwadratowym basenie
krokodyle ospałe
wystawiły z mętnej wody
czaszek twarde kanty
załatywał ostry swąd
latających po klatce panter
gdzieś blisko ibis obudzony pisnął

krokodyle spojrzały tępo z ukosa
zwolna z wody wyrasta
zwój ogonów sprężyn
i ze świstem powietrze rozciął
wystraszeni dozorczy krzyknęli na cały głos
niewiadomo dla czego
zahaczyła paszcza o paszczę
ze złością
kłąb gadów w karkołomnych skrętach się sprężył

kipi topiel ukropem
pryska lawą kropel
trząsły gnaty ze stali
w trybach szczęk
cztery motory zwały się i warczą
bładzi ludzie na brzegu
bezzradnie podskakiwali

ujazano jak ugięły się pancerne tarcze
i pękły

a kiedy męty wystygły i opadły
po chwili
wyłowiono z basenu kawały padła
krwawe polcie
rozdartych na ćwierci
krokodyli

okropne były skutki katastrofy
zdenerwowane stado strusi
stratowało dozorcę na śmierć
boa porwał goryla i udusił
rozwierzgana żyrafa
rozmiosła na kopytach wątłą antylope

jeden tylko hippopotam
nie przerywał roboty
bez wytchnienia sto H P
jak przedtem tak potem

dyrektor menażerji zgromadził załogę
na nową ekspedycję w dół rzeki Limpopo
straty obrachowano na sto tysięcy złotych
chłopczyna szedł do domu zadumany błogo-
samoanki mu na drumlach grały słodki egzotyk

Ś M I E R Ć

Przewracałem twarde karty trędowate
ból mi w głowie owinięto w miękką watę
leżał chory nieruchomy zgięty na pół
ktoś go wcisnął niewygodnie za kanapę
szły parami nudne dreszcze jak akrostych
widzisz chory ma na szyi białe krosty
czarne muchy się szerszenia gdzieś za piecem
już we flaszcze cicho zgasła mała świeca
a pamiętasz świt się tlił na nieboskłonie
strojnym rycerz w złote kapy siodłał konie
roztupotał się pod młodym kary ogier
zapamiętał się w rozgwarach bitew srogich
rozśpiewało nam się serce w chórach rymów
strunne słońce wtórowało słodkim hymnom
jadę rankiem jadę we dnie śpiewam jeszcze
przyszedł wieczór niskie chmury mżyły deszczem

począpala błotem szkapa w mroku burym
zadem wparliśmy się w pleśnie mokrych murów

pod tym murem zcicha kwilił biały głos tych
którym sterczą łby z pod ziemi całe w krostach

przechodziło tędy wielu głodnych braci
wszyscy byli bardzo chorzy trędowaci

próżno oczy odwracamy przydymione
każdy z nas i tak niedługo w lęku skona

teraz wiem że mnie w dzieciństwie ktoś okłamał
wystąpiły mi na rękach białe plamy

nie odjadę tu już konia rozkulbaczę
otuliłem wątłe płuca cichym płaczem

rozgorzałyż grzędy głów żarliwie chórem
oddzwoniło serce srebrem sygnaturek

nie wymodlisz nie oszukasz nie odmienisz
przyjdzie łaska i pokuta — zrozumienie

nad otchłanią wiedzie ścieżka pełna ostów
mujesz skoczyć musisz w słońce frunąć prosto

CHOINKA

Pryśła w parku jak z procy
ceratowa karoca
pstre kucyki w płasach
w gwiazdki dwonków kłus parska
uzdami potrząsa

zatoczyli wdół na zakręt
brzęczą szyby w lustrach
wystrugany stangret
huśta się na bruzdach
zajechali w bór

w borze
wykroty
ostępy,
dęby
gmachów
posepnych
grają organy górą
ogromny chór

niżej w kadzidle żywic
leśny zielony kościół
ktoś tu posiał gdzieś grzyby
butwiejącej cichości

a pomiędzy sosnami
kolumnami
z brązu
Matka Boska Borowa kroczy
twarz ma czarną —
czary czyni oczom
zniosło pojazd w zachwaszczony wąż

papierowy sruwa z kół pajacyk
niespokojnie w kowalijkach błdzi
ścieżki szuka — ścieżki do Pałacu
omotało go Babie Lato w kądział

a za studnią — za dziewiątym gdzieś dębem
Matka Boska siwowłosa się smuci
zakołysał się pajacyk zasępił
w twarz Jej czarną popatrzył — chciał uciec

rankiem ujrzał pobożny gajowy
trup karety w areokarjach
na gałązce kaktusa zawisł
malowany aniołek papierowy
i napis
Ave Maria

S A M O B Ó J S T W O

Dudnią kołą wehikułów w betony mostu
głucho tłukł się w arkad łukach stłumiony głos tu

w lamp rozpryskach most połyska iskrzy się rzeka
prą tramwaje nadbiegają inne z daleka

tańczą auta zeskakują w ulice ślniace
nóg po moście gdzieś się ściga setki tysiące

było ludno było gwarno jasno i prosto
nikt nie wiedział co się działo pod mostem

spacerowa'i różni
spacerowały i małe dzieci
a raz szedł ktoś bardzo późno
był smutny i zleciał

tam — u dołu
pod skiepioną — powałą
mury — grube — rozrosłe
głuche — kręte — krużganki
w zakamarkach niespokojnie się chwiały
czarne
pajęczce
firanki

nagle z głębi wystąpił niespodziany załom
z poza rogu wyrasta człowiek w szarym szalu
rzekł

**wielkie nieszczęście się stało
główną bramę zamurowali**

to jest mistyfikacja zacisnąłem usta
i zerwałem ze ściany czarną nocy płachtę
ziała pustka
wprowadził mnie w okropny gmach ten
prosił tylko bym tu nie płakał

nie kochałeś ich mówił i tak
nikt też ciebie nigdy nie kochał
chcieli w rzekę cię rzucić biedaku
spóźnili się trochę

wtem mu zielona kropla z palca w błoto spadła
poczułem jak na czole róg mi już wyrasta
wtedy wreszcie zrozumiał że jest w mocy diabła
wszyscy ludzie uciekli po moście do miasta

MIŁOŚĆ

Zatańczyła statuetka z alabastru
w listopadzie dziwny nieraz bywa nastrój
w pustej sali kwitł samotnie kwiat tytoniu
gdzieś po ścianach tu się snuły czyjeś dłonie
nie umieją zaleknione do mnie trafić
zatrzymały się na małej fotografii
żał kamienny kochające serce ściska
noc po dachach chodzi cicha przepaścista
na ulicy klnie dorożkarz policjanta
dziewka liczy pod latarnią co jej frant dał
chory ranek pluje deszczem w studnie ulic
kwiat tytoniu z bólu zadrżał listki stulił
weszła Zosia między astrów mokre klomby
blady pajac stąpał za nią zawsze z nią był
tuli usta długo w oczy patrzy modre
zakipiały jej upałem senne biodra

chodzi Zosia chodzi biedna po ogródku
któż cię Zosiu z romantycznych ułud utkał
dzienne światło przypruszyło brudne domy
ktoś za ścianą się szamotał z nieznajomym

biegnie Zośka po boisku na bosaka
z za parkanu szczyrzy pysk pstrokaty plakat
wszystko było tak powszednio tak bez sensu
smutny pajac po suficie się wałęsa

statuetka w pustej sali tańczy tango
a pamiętasz jak to w cyrku skakał kangur
spływa pajac wdół po rynnie do katakumb
trzech go w ganku czeka braci wilkołaków

ale gdy już miał zapłakać Zochna żegnaj
straszna wróżba zapomniana go ostrzegła

cały dzień po mieście chodził myślał o niej
a z wieczora przypiął zwiedły kwiat tytoniu.

W S P O M N I E N I A

BŁOKJADA

Ponad nami spiętrzyły się lata
ludzie dawno zapomnieli już o nas
ja i matka wspólny cień nas oplata
w trzeciej trumnie leży siostra rodzona

mojej matce nie domknął ktoś powiek
skrzyżowała bezradnie ręce
siwe włosy zjeżone na głowie
w uroczyście sztywnej sukience

czy to tobie śni się synu że żyjesz
• czy to ja sen mam taki żałośny
(rękę zarzucić mi nie mogła na szyję)
było pusto nieruchomo bezgłośnie

ja i siostra musieliśmy wyjaśnić
mówiliśmy długo zawile
prosiłiśmy matucho zaśnij
będą prędzej mijały chwile

moja matka nie śmiała prosić
młody jesteś — odwal ten kamień
tej okropnej nocy już dosyć
ktoś nas wtedy oszukał — kłamie

był paclnący pamiętam trawnik
chłopiec matki szuka po alejach
w starym parku czarny staw i huśtawka
z za parkanu chłopak z popa się śmieje

rozdzwonione zielone świątki
jakiś tłum jakaś troska powszednia
szkolna ława i tajne związki
ludzie smutni jak zła przepowiednia

potem wszystko już poszło bez sensu
ludzkim sercom naprzekór i trudom
w trumnie nawet się dalej nasz sen snuł
choć nas dawno grób ukrył pod grudą

długoż śnić się nam będzie dzieciństwo
kiedyż wreszcie zapomnimy o wszystkim
wciąż ta sama brzoźka rzuca nam cień swój
i te same szeleszczą listki

z tego snu nikt nas nigdy nie zbudzi
wszyscy dawno zapomnieli już o nas
o matuchno o siostrę o ludzkie
jakże straszno nam było kończyć

K R Y T Y C Y

Na wybrzeżu stał chińczyk
nakryty parasolem
sine miał okulary
na okrągłej głowie
uważnie śledził okręt
płynący do Jerusalem
a niezwykły to był trójmasztowiec

barjery galeryjki filigranowe filarki
każdy się maszt od wzdętych baloników aż roił
widujecie takie okręty w sieniach winiarni
ale ten okręt nosił rycerzy w zbrojach

toż to ryngrafy luster ze szklistej stali
obok ogromne tarcze topory kusze
i tak w potrzasku przyłbic gromadą stali
posepny stos żelaztwa ledwie się który ruszał

i oto gdy go mijano
niepojęty przymus
z brzękiem szczękiem ruszyli wszyscy w tę stronę
wtedy okręt którego nikt już nie trzymał
pochylił się na fali
i utonął

oto są skutki podróży
na staroświeckim statku
trafnie to chińczyk wywróżył
ale nie wiedział nieboże
jacy to się junacy w stał wskorupili gładką
zerwą przyłbice z głów
rzuca się wpław przez morze

na górze z porcelany
zieleni się ogródek
w ogródku biały pałacyk
cały w różanem kwieciu
tam się schronili rycerze
ten domek ocalił ich cudem
modlili się w dal lazurową
gdzie złoty obrazek świecił

a gdy im już pijanym na cymbałkach grano
całą noc przy ogniskach śpiewali bohaterzy
chińczyk ani się ruszył stał tak do rana
bo jak się okazało od stu lat już nie żył

M E T A F I Z Y K A

Jak często oglądasz słońce
widzisz je prawie codziennie
na widokręgach okropnie krawiące
płomienne

ale dlaczego olbrzymia ta lampa
krąży po torach kół euklidesów
Jak pierwszy lepszy omnibus po plantach
dlaczego mianowicie
świat się zwija w deseń
wzorów Einsteina i Kanta

potrafisz wszystko logicznie wyjaśnić
można rozkładać nawet i atomy
nad Atlantykiem przerzucono most
lecz nie wiesz że to jest tylko znikoma
gra wyobraźni

**logigeometryczny mózg
to neuroautomat**

uważaj tylko pilnie
jakie to tempo życia
jakie prędkie niepewne
jakie nieokiełzane

przyjacielu ty widzisz tylko własne odbicie
pochylony nad oceanem
ale nie wiesz nic o tem
świecąc świeczką po ścieżce
że po drogach bezdrożach
więcej olbrzymie ciemne huragany
które ci śmiercią grożą

a byli ludzie co wierzyli w wróżki
Dant im był Kantem
strzałem w niebo gotyk
kiedyż nareszcie zejdziesz ze swej dróżki
i wstąpisz na Golgotę

a zobaczysz ze szczytu
maleńkiego pagórka
drogę wielką i prostą
drogę dziwną
Drogę Prawdziwą
której widzieć nie możesz z głębi swego podwórka
bo ci cień ją twój własny zakrywa

K A T A S T R O F A

Wyjechali na jezioro
rybacy z wężerem
a rybaczki na wybrzeżu
warzą im wieszczerę

twardo pruły rufy łódek
wiotkie chusty wód
woda czysta woda wielka i daleka
spokojna woda
tylko trzcina gdzieś szeleści lekka
na pogodę
siadła w łodziach skwarna cisza

znagła zalał horyzonty ostry krzyk gołębia
nie znał drogi
stroszył pióra
runął z nieba w głębie
zatrwożyli się rybacy każdy z nich to słyszał

w zamieszaniu
chcieli złapać
gołą ręką
bodaj karpia
ale żaden nie mógł
jeden prędko skubał szarpie
podawał drugiemu

na nic się to wszystko zdało
łódki się rozbiegły
baby w chatach chichotały
suche placki piekły

a żeglarzy groza niosła
wzięli się za ręce
podpierali się na wiosłach
kurcz im karki skręca

nie wiedzieli co to znaczy
topili się trzy dni
w chmury patrzą z rozpaczą
kiedyż się rozwidni

ludzie biegli tam co chwila
by zobaczyć rzecz tą
każdy się wychylał
machał im chusteczką

i widzieli kute łodzie
wszystkie zwolna zwiędły
została na wodzie
jedna wędka

PSALM

Miażdż czaszki trybami maszyn
parz żarem i szczęki gruchocz
cóż oczom uczynisz naszym
pobuntowanym duchom

w brzuchy nas kopiesz pękate
kamieniem garby nam ranisz
żylaste są nasze gnaty
twarde jak granit

z głoduśmy puchli i wyli w newralgji
śmiertelnie długie tratowały nas noce
a ~~mimo~~ to rozdygotane wargi
wciąż ssają miąższ zakazanych owoców

sękaty palce łakomie przysiadły
w czarnym przydrożnem błocie
myszkują skrzętnie wyszukują i kradną
słodkie pachnące łakocie

wiem przyjdiesz znowu o zmierzchu
krzyżem mnie zwalisz z nóg
wyszperasz w ubogim mieszk
moje skarby wysypiesz na bruk

oto widzę przy blasku gromnic
gwoździez to są z Twoich ran
i przerażony ogromnie
modłę się już do rana

w krwawym się tarzam prochu
ze strachu przed Twoim sądem
bo nie umiem Cię Panie kochać
i nie wiem czego żądasz

twarda Twa Mowa i ciemna
jakoż mi ufać a pościć
cud uczyn Panie nademną
bym był jak ludzie prości

jak prości ludzie pracy
z robactwa serc wybrani
cóż oni z życiem tracą
gdy własneś dał życie za nich

uschły me kości w złościach
z lękiem przed Tobą klękam
bo niema we mnie miłości
cięży mi Twoja Ręka

P O G R Z E B

Zwolna
kołysały nas dwony
wychylają się toną
komże księży
faluja alejami załamanych rąk
długim lunatycznym węzem
mijali pusty pośiniały rynek
kwadratowy karawan skakał tu i tłukł
i stukał o gruby bruk

a z poza pozłacanej zasłony
obserwuje nas zażawione
oko
to on
to Pan Obłoków

o Panie
ręce mi łamiesz
ręce
wykręcasz
litości
pękna

rzęsy obsiadła nam noc
lepkie łakomstwo łązi dziś po łąkach
zielony kobold po błotach się błąka
i psyka
tsylilit tsyluyt

w rozpląsanych muskułach musuje muzyka
ale śmierć już nam śmierć aloesem pachnie
we snach

Panie
kolory świata mi przemień
zagłusz drgających pulsów grzechot
i nie wwódź nas na pokuszenie
jak ciężko konać w grzechu
jak strach

a raz na wiosnę umierała panienka
noc całą dzwonił słowik
a nad ranem westchnęło wątłe serce i pękło
było potem bardzo cicho i dobrze
prości ludzie zaufali Jezusowi
wyprawili jej skromny pogrzeb

SKAZAŃCY

Z krańca ulicy przeraźliwie pustej
wychlusła
olbrzymia baszta
mnóstwo okienek nie może
otworzyć
ust
jakiż to dziwny klasztor

iluz tęskni w stęchłych suterynach
czemuż Bóg ich za próg wywabił
usta ranią na ostrych strunach
wątle jabłka z różowego jedwabiu

rozdygotani czaili się po ulicach
pomagały im schorowane kochanki
jeżeli to zauważy policjant
natychmiast im nakłada kajdanki

idą za nim
nie narzekają
nie grożą
krzywdą nam się mówią nie stanie
bo i tak nic się zdarzyć nie może

podprowadzili nas ostrożnie
pod samą basztę
(jeden potknął się strażnik
o próg u bramy)
i w kącie długiej trumny
na końcu korytarza
zostawili nas wreszcie samych

o jak mądre jest prawo miast
o jakże słodkie
kiedy klucze za drzwiami — różaniec gwiazd
swoją zwykłą zadzwonią melodję

w alejach ulic
jest coraz piękniej
tramwaje dają
publiczny koncert
i uśmiechają się śliczne panienki
bo teraz
wszędzie jest słońce

w rogu baszty
ukryty w cieniu
już nikogo nie trzeba się bać mi
o jakżem piękny w mojem cierpieniu
ludzie
wszyscyśmy braćmi

A M P U T A C J A

Linijna amfilada maleńkich pokoików
tli się niepokojąco woń ckliwa jak ocet
klinika

bieleje kilka kitli
zegar zlekka tykoce

w szklanych gablotkach
na stolikach z metalu
połyska stal
niklowane klingi lancetów

zwlekli kalekę z legowiska
rozpostarli go na stoliku

kalece dygocą nagie kolana
jak myśli kolega

leca leca wylękle chwile
kaleka lękliwie kwili

lekarze
wyostrzyli szczypczyki
odliczyli kilka kropelek leku
potem wszyscy się naraz troskliwie pochylili nad stolikiem
krzyknął
o Boże toż on krzyknął
w pustkę korytarzy

krzyk w oko uderzył kamieniem
ten krzyk poranił czworograny kamienic
na twarz nałożyli mu zaraz dużo bandaży

były białe czerwone i niebieskie

a lekarze myli palce
zapinali kieski
pogadywali o polityce

D R O G A

Droga się wlecze prosto nudnie
tak niepotrzebnie tak bez końca
w samo południe
pełne słońca

idą stronami w piachu grzędach
telegraficzne strunne słupy
idą jęklawie długim rzędem
na horyzontów biały upał

w rowie przydrożnym leży człowiek
dalej już widać iść nie może
z pod zastygłego wosku powiek
oko się szkli po złych bezdrożach

głazem bezwładnie legła głowa
rozważa zdarzeń ścieżki ślepe
bo przemknął po niej płowy owad
oczy oślinił śliskim skrzepem

wpełza na drogę wojska tuman
skargi żołnierskiej jękla nuta
w rów się pochylił młody ułan
i ściąga z trudem z trupa buty

krwi mu koralik padł ołowiem
nie drgnęła droga poszła prosto
przy drodze szary bosy człowiek
w piach się położył i pozostał

Ż Y C I E

W dusznem kinie tańczy Mary Pickford

Lili leje do kieliszków likwor

mały kotek wślizgnął się do wnętrza

a za oknem noc się czarna piętrzy

kręcę pilnie na warsztacie kółko

i zagryzam skromnie suchą bułką

wymyślili mnie znajomi ludzie

ileż cōdzień mają ze mnie uciech

gdy przestanę wierzyć im że jestem

zaraz urwę się i runę w bezden

każą kołki mi przy lampce strugać

kotek z kątką poufale mruga

ale kiedy stłuką nam latarnie

noc ogromna wszystkich nas ogarnie

S P I S R Z E C Z Y :

	Str.
Erotyk	3
Farys	6
Egzotyki	9
Śmierć	12
Choinka	14
Samobójstwo	16
Miłość	18
Wspomnienia	20
Krytycy	22
Metafizyka	24
Katastrofa	26
Psalm	28
Pogrzeb	30
Skazańcy	32
Amputacja	34
Droga	36
Życie	37

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 17923

BIBLIOTEKA U. M. C S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki